

Tytuł: “Jeden z nas” - fragment

Autor: Krzysztof Wilk

Boczne drzwi sali sądowej otworzyły się i do środka weszła młoda sędzia, wyznaczona najprawdopodobniej z powodu braków kadrowych do jednoosobowego rozpoznania sprawy. Gdy sytuacja w wymiarze sprawiedliwości stała się krytyczna, parlament w pośpiechu dopuścił możliwość takiego rozstrzygnięcia oraz ustalił zakres spraw mogących podlegać nowej procedurze.

– Proszę wstać. Wyrok w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej...

Gerard stał i wpatrywał się w białego orła nad głową Sędzi odczytującej orzeczenie.

– Sąd Okręgowy w Krakowie Wydział II Karny, w składzie...

To wszystko wydawało się Gerardowi takie nierealne. Z jednej strony sala rodem z PRL z drewnianą boazerią na ścianach i ten tandetny stół sędziowski uginający się pod tomami akt powiązanych w szarych teczkach, a z drugiej strony ta sędzia...

„Jak to w ogóle będzie wyglądało? Pójdę do paki z decyzji dziewczątka w okularach ze szklami jak denka butelek?”.

– ...w obecności oskarżyciela publicznego po rozpoznaniu na rozprawie w dniu...

„Czy tego nie można nagrać na jakiś pendrive? Czy to musi się odbywać, jakby to był proces złapanych w lesie żołnierzy wyklętych?”.

– ...sprawy Gerarda K., urodzonego dwudziestego piątego stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku w Krakowie, oskarżonego o to, że w dniu...

„Gdy ona to odczytuje, wszystko brzmi jakoś niepoważnie. Ten wyrok ma przypieczętować resztę mojego życia, a ja czuję się, jakby mi wychowawczyni dyktowała uwagę do dzienniczka... Nawet nie oderwie oczu od tych swoich karteczek”.

– ...to jest o czyn z artykułu... – Sędzia podniosła wzrok, jakby usłyszała jego myśli. Ich spojrzenia się spotkały. Serce Gerarda zamarło.

W życiu nigdy nic nie wiadomo. Masz siedemnaście lat, chodzisz do dobrego liceum, wracasz sobie w piątkowe popołudnie ze szkoły, zastanawiając się, czy wieczorem pójść na urodziny kolegi, czy jednak zostać w domu i pograć na komputerze, a tu zza rogu wybiega dawny znajomy z podwórka, a za nim biegnie trzech bandytów z mordercą w oczach, ścigając go jak zwierzynę.

Oczywiście, że odwracasz głowę, bo to nie twoja sprawa i w ogóle, to nie chcesz problemów. „Pstryk” – za osiem lat kończysz studia, dostajesz pracę w korporacji, zakładasz rodzinę i wszystko jest tak, jak sobie to zaplanowałeś.

Ale może nie odwracasz głowy... I co wtedy? No właśnie... „Pstryk” – za osiem lat gapisz się w białego orła w koronie wiszącego dumnie, choć biednie, bo na wypłowiłym tle, nad głową jakiejś niewiele starszej od ciebie dziewczynki, która ma przesądzić o twoim życiu...

Gerard nie był odważny, nigdy się nie bił i kompletnie nie wiedział, co ma zrobić. Chłopak, który uciekał, był najfajniejszym zbirem z jego dzielnicy, a przy okazji ze szkoły, bo wszyscy z tej okolicy uczyli się w tej samej. Michał to był taki łobuz z romantyczną duszą. Potrafił ukraść, pobić i ogólnie narozrabiać, ale nie zrobiłby bezsensownie krzywdy słabszemu. Był też na swój sposób honorowy. Kiedyś uderzył jednego chłopaka z równoległej klasy i przypadek sprawił, że ledwo popłynęła krew z nosa, a na salę gimnastyczną wkroczyła pani pedagog. Pokrzywdzony za nic w świecie nie chciał powiedzieć, kto go uderzył, i zyskał tym szacunek Michała, a sobie narobił problemów. Od tamtego czasu mógł chodzić po szkole spokojnie, mimo że poza tym był skończonym idiotą.

Po podstawówce i gimnazjum, które mieściło się w tym samym budynku, Michał poszedł do jakiegoś technikum elektrycznego, a Gerard do jednego z lepszych liceów w Krakowie, ale obaj nadal mieszkali w tej samej okolicy, więc się widywali. Dla dzieciaków z tej samej szkoły sam fakt tej wspólnoty jest w jakiś sposób uświęcony.

Michał przemknął jakieś dziesięć metrów przed Gerardem przez skrzyżowanie dwóch mało ruchliwych, jednokierunkowych uliczek wiodących wzdłuż szeregu kamienic, następnie przebiegł obok kiosku Ruchu w stronę bramy przecinającej na wylot jedną z kamienic, a za tą bramą czekał go już otwarty skwer. Pierwszy biegł za nim szczupły i żyłasty chłopak,

najprawdopodobniej najszybszy pies pościgowy. Pozostali dwaj biegli również bardzo szybko, ale wolniej od gończego, obserwując uważnie otoczenie.

Gerard ruszył za nimi, utrzymując dystans. Pościg zakończył się w bramie, Michał nie zdążył wybiec na skwer – pies pościgowy wykonał zadanie i go dopadł. Drugi chłopak zaraz ich dogonił, a trzeci zwolnił i bez pośpiechu szedł, rozglądając się nerwowo.

„Oni nie są stąd” – pomyślał Gerard i chwycił metalowy pręt wystający ze śmietnika za kioskiem. Cofnął się o dwa kroki, żeby spojrzeć wzdłuż ulicy, czy nie ma tam kogoś, kto mógłby przyjść z pomocą. Zobaczył tylko staruszkę z zakupami. W jego głowie błysnęła myśl: „Odłożę pręt i zawrócę. Jeżeli nie zrobię tego teraz, nie będzie już odwrotu”.

Ta myśl zniknęła jednak tak samo szybko, jak się pojawiła, i zamiast zawrócić, Gerard krzyknął w stronę staruszki, ale na tyle głośno, żeby napastnicy go usłyszeli:

– Żydy wjechały! Szybko, bo nam spierdola! – Po czym ruszył biegiem z metalowym prętem w rękę w stronę bramy. „Co ja właściwie wyprawiam?”.

Ostatni chłopak obrócił się, ale narożny budynek zasłaniał mu widok na ulicę, a wyobraźnia podpowiadała obraz hordy miejscowych Hunów biegnących z Parku Krakowskiego. Do tego spojrzenie na pędzącego Gerarda z szaleństwem w oczach i z prętem w rękę sprawiło, że spanikowany chłopak zrobił krok w tył, potknął się i przewrócił. Jego mina dawała jasno do zrozumienia, że już jest po walce. Był pokonany mentalnie i przerażony zastanawiał się, czy dostanie prętem, czy załuką go ci, którzy nadbiegną z parku. Tak się dał zahukać, że poddałby się nawet tej staruszce z zakupami.

Michał wykorzystał zamieszanie i błyskawicznym prostym roztrzaskał nos sprinterowi, a następnie ruszył na drugiego chłopaka, który zszokowany zaczął rozglądać się za drogą ucieczki. Napastnicy poczuli się teraz osaczeni, bo Michał zagradzał im drogę na skwer, a Gerard z prętem uniemożliwiał ucieczkę w drugim kierunku.

„Łowcy zmienili się w zwierzynę”.

Gerard wystraszył się trochę, że jak ruszą do ucieczki, to wybiorą szarżę na niego zamiast na Michała, jednak to ryzyko wykluczył „pokonany” przez niego chłopak, który na czworakach próbował właśnie dołączyć do kolegów i który krzyknął do nich:

– Spierdalamy!

Przeciwnik, na którego nacierał Michał, uchylił się, złapał za kaptur gończego i pociągnął w kierunku skweru, na otwartą przestrzeń. Trzeci napastnik ruszył za nimi na złamanie karku. Michał i Gerard stanęli obok siebie, patrząc, jak tamci uciekają, potykając się o własne nogi i wpadając na zaparkowane samochody.

„Żeby tylko nie przyszło mu do głowy ich gonić” – pomyślał Gerard.

– Co jest, młody? Gonimy ich? – zapytał Michał z rozbijającym uśmiechem na twarzy, ale zobaczywszy minę Gerarda, dodał: – Spokojnie, żartowałem. A po co ci to żelastwo? – zapytał, patrząc z niechęcią na metalowy pręt w jego ręku.

– Wziąłem, bo... ich było więcej – odparł Gerard, pewny, że ten argument rozwiązuje kwestię. Michał pokręcił głową z niezadowoleniem.

– Nie mieli sprzętu. Ech... Wstydu nam narobiłeś, młody. No ale nieważne, to twoja pierwsza walka na ulicy?

„Walka na ulicy? Serio? Stoczyłem walkę na ulicy? Nawet nikogo nie uderzyłem”.

– Na to wygląda... – przyznał i wypuścił pręt z ręki.

Zza roku budynku wyszła powolnym krokiem staruszka z siatką zakupów i spojrzała na Gerarda z niechęcią i oburzeniem.

– To te posiłki, które wezwałeś? – zapytał z rozbawieniem Michał.

– Innych nie będzie – odpowiedział Gerard i obaj zaczęli się śmiać.

Przechodząca staruszka była teraz jeszcze bardziej oburzona niż przed chwilą. To był śmiech zwycięzców. Tego dnia ci dwaj, choć nikt by tego nie przewidział, obronili swoją dzielnicę przed najazdem obcych, którzy mimo że byli w przewadze, uciekli, okrywając się hańbą. Gerard, choć nikogo nawet nie uderzył, wykazał się odwagą i uratował Michała co najmniej od porządnego wpierdolu na własnym terenie, a kto wie, od czego jeszcze. Nigdy nie wiadomo, co się stanie, gdy dopadną cię troglodyci. Czasami walczysz o honor, czasami o to, żeby nie zostać kaleką, a czasami o swoje życie – o tym Gerard miał się jednak dopiero przekonać.

Gdy ojciec wszedł do pokoju, Gerard wylegiwał się na łóżku, próbując dojść do siebie po imprezie, na którą poszli z chłopakami, żeby świętować zwycięstwo ich drużyny. Nie miał

teraz ochoty na żadne konwersacje, głowa mu pękała od nadmiaru alkoholu z poprzedniego dnia. Spod przymkniętych powiek zobaczył tatę stojącego z jakimś zwiniętym materiałem w ręku, a jego mina wróżyła dłuższe wynurzenia, na które kompletnie nie miał nastroju.

– Gerard, mama wyciągnęła to z kosza na pranie. – Ojciec rozwinął jego nową koszulkę, prezentując nadrukowany na niej rysunek rekina i napis...

– *Łowcy Żydów?* Co to w ogóle ma znaczyć? Wyjaśnij mi to, bo ja tego kompletnie nie rozumiem. A zresztą, czy nie możesz chodzić w normalnej koszulce?

– Tato, daj mi spokój, to tylko takie hasło.

– Gerard, ty się zastanów, co ty wyprawiasz i co sobą reprezentujesz, nosząc to. Nie wychowaliśmy cię na antysemitę i póki mieszkasz pod tym dachem, nie życzę sobie takich „tylko haseł”. Co ty w ogóle masz do Żydów, synu? Znasz chociaż jakiegoś?

Gerard nie miał siły na tę dyskusję. „On i tak tego nie zrozumie”.

– Żydy to kibice z drugiej strony Błoń. To nie ma nic wspólnego z tymi Żydami.

Ojciec popatrzył na niego z politowaniem.

– To jest najgłupsza rzecz, jaką słyszałem. Ty sam siebie słyszysz, Gerard? – Spojrzał jeszcze raz na koszulkę, po czym zmiął ją w kłębek i rzucił na łóżko. – A to ma stąd zniknąć – powiedział stanowczo i wyszedł z pokoju.
